

Joanna
CHMIELEWSKA



ZBRODNIA W EFEKCIE

Joanna
CHMIELEWSKA



ZBRODNIA W EFEKCIE

KLIN

Redakcja: *Ewa Kłosiewicz*
Korekta: *Małgorzata Kot*
Projekt okładki: *Agata Plewicka*
Zdjęcie autorki: *Witold Gawliński*

© Copyright by Wydawnictwo Klin, Warszawa 2013

ISBN 978-83-62136-70-4

Wydanie I
Wydawnictwo Klin
Warszawa, ul. Bruzdowa 117H
tel. +48 501 686 786
e-mail: m.g.klin@op.pl
www.wydawnictwoklin.pl

Wpadłam w furię.

Wcale nie miałam takiego zamiaru, planowałam odbycie spokojnej, rzeczowej rozmowy, bo jeszcze ciągle kołatały się we mnie resztki nadziei, że zdołam go uczłowieczyć. Idiotka. Uczłowieczyć mężczyznę!

Nie zdołałam sobie później przypomnieć, co on takiego powiedział, że nagle we mnie strzeliło. Może to było o łgarstwie? Ja nie kłamię tylko dlatego, że on mi nie zadaje żadnych pytań? Primo, to nieprawda, na pytania odpowiadał wyłącznie pytaniami, a secundo, niby co to miało znaczyć? Że gdyby spytał o cokolwiek, ja natychmiast wygłoszę jakieś piramidalne łgarstwo? Że ten taki od licznika wcale nie przyszedł do licznika, tylko po to, żeby przeseksualić się ze mną? Że wyprę się naplucia po pijanemu na jakąś babę na placu Zbawiciela? Bo ktoś prawdopodobny mnie widział i doniósł...?

W życiu nie naplułam na żadną babę nigdzie i nie odwiedzałam po pijanemu placu Zbawiciela, ani żadnego innego placu, nie mówiąc już o błąkaniu się w pijanym widzie po mieście. I nigdy nie żywiłam szczególnej namiętności akurat do inkasentów, jeśli już, to raczej do kapitanów żeglugi wielkiej, chociaż z żalem należy wyznać, że żaden mnie nie chciał... nie szkodzi, na pyta-

nie w tej kwestii odpowiem łągarstwem jak na każde inne.
Gwarantowane!

Może wyprę się kapitanów...?

A może tchórzliwie ukryję fakt, że przegrałam na wyścigach wszystkie własne pieniądze, zaciągnęłam dwudniową pożyczkę od lichwiarza i teraz lecę mu oddać...?

Ale może to było w ogóle nie to, tylko coś zupełnie innego? Nigdy sobie nie zdołałam przypomnieć.

Dość, że w moim mieszkaniu rozszalała się wściekła furia i dziw, że nie sfajczyłam domu zapalonym papierosem, który pirzgnęłam pomiędzy liczne materiały łatwopalne, obecne u mnie w obfitości. Gdybym trzymała w rękę odbezpieczony granat, pirzgnęłabym granatem.

Nie zabiłam tego palanta, chociaż prawie. Wywrzeszczałam swoje. Znalazł się supermen, ucieleśniona szlachetność, bóstwo na postumencie, przed którym pokorna kapłanka miała święty ogień palić, ja zaś zapewne trochę niedbale układałam drewnienka. Możliwe, że kapłanek było więcej niż jedna, nie miało to najmniejszego znaczenia, nie każda do sanktuarium bywała dopuszczana, niektóre miały prawo tylko opał donosić, żadna natomiast nie doczekała się nie tylko nagrody, ale nawet pochwały. Milczenie bóstwa oznaczało, że nie ma czego zganić.

I wszystkie żyły nadzieją. Idiotki.

Szczodrość w bóstwie nie istniała. Żądać. Wymagać. Podstępnie, nie mówiąc wyraźnie, czego władca sobie życzy, niech się sama domyśli. Z siebie nie dawać nic.

Za to symulować szaloną chęć dawania, zręcznie stwarzać i podsycać te wielkie nadzieje, to miała być ta kryształowa szlachetność i dbałość o cudze uczucia. Pełna gęba pouczeń, jak to należy dbać o subtelne uczucia, cudze, znaczy: jego.

O, znalazłam mu znacznie więcej zalet, nie tylko te duchowe drobnostki. Wykrzyczałam wszystko, w rezultacie dostał konwulsji, bo takie skancerowanie wspaniałości okazało się absolutnie nie do zniesienia. Postument się rozleciał i co z takim fantem zrobić?

Nie wezwałam pogotowia. Przestał się trząść i wyszedł o własnych siłach.

Więcej nie wrócił, a po roku czy dwóch latach okazało się, że jednak jakieś prawdziwe zalety miał. Moje noże przestały być ostre, a nożyczki jakoś gorzej cięły. Nie była to cena zbyt wygórowana za ostateczne udeptanie własnej głupoty i w końcu zostały mi już tylko resztki furii na samą siebie. Oślica, nic innego.

Poczułam się jakoś osobliwie wolna od wszelkich gniotów i wyjechałam.

* *
*

Jedna taka bardzo starsza osoba, niejaka pani Amelia, upierała się, że lubi gąszcz. Zważywszy wiek, miała dość czasu, żeby ten gąszcz stworzyć i wszelkim pretensjom stawiała kamienny opór.

W grę wchodziły tak zwane działki pracownicze, przydzielane tak zwanym ludziom pracy w odległych czasach błędów i wypaczeń, i oczywiście wielbicielka gąszczu była wówczas o przeszło pół wieku młodsza. Pracowała na owej działce cała rodzina i oczywiście o żadnych gąszczach nie mogło być mowy, ale starsza o pokolenie rodzina zesła z tego świata, nieliczne pokolenie młodsze ruszyło gdzieś w nieznane i pani Amelia została sama.

No i zabrakło jej sił.

Nie tyle może z miłości do gąszczu, ile z tego braku sił zrezygnowała z ciężkiej pracy. Na działkach pracow-

nicznych zawsze istniał wymóg właściwego użytkowania posiadanego terenu, działka musiała być zadbana, uporządkowana i estetyczna, pretensji do posiadaczki zatem pojawiało się mnóstwo, na co pani Amelia stwierdzała, że ona lubi gąszcz, nic od niej się nie rozsiewa wokół, nic się nie płoży, a wszystko wygląda malowniczo. Człowiek zaś na starość ma prawo do zaspokajania swoich potrzeb estetycznych.

No owszem, wyglądało malowniczo i otoczeniu właściwie nie szkodziło. Skłębione razem maliny, jeżyny, agrest, berberysy, porzeczki trzech kolorów, kwitnące krzewy niewiadomego gatunku, powoje, ozdobne osty, warzywa korzeniowe, też kwitnące wbrew swojemu przeznaczeniu, rozmaite fasole i groszki, wszystko razem skłębione niemiłosiernie, nie dość, że trzymało się kupy, to jeszcze kwitło i owocowało. Przejście od furteczki do domku zwanego altanką istniało i dawało się pokonać, aczkolwiek tajemnicze kolce chwytaly lekko za nogi, spodnie i spódnice. Ale nic nie rozlażyło się na boki, więc właściwie jej sprawa. Właścicielki.

Odczepiono się wreszcie od niej po dość długich sprzeczkach z nadzieją, że przecież ta baba nie będzie żyła wiecznie. Widać, że młodość odbiegła ją bardzo dawno temu, wkrótce umrze i będzie z głowy. Na wszelki wypadek sprawdzono stan prawny działki i okazało się, że pani Amelia ma spadkobierczynię, jakąś cioteczną wnuczkę, która dopiero niedawno skończyła osiemnaście lat, a na jutro po urodzinach została właścicielką ogródka, może nawet o tym nie wiedząc i nie wykazując żadnego zainteresowania. W każdym razie nikt jej tutaj nigdy nie widział. Ale była. Istniała.

* *
*

Po drugiej stronie wąskiej alejki znajdowała się działka, również dość osobliwie traktowana. Uprawiali ją liczni członkowie jednej rodziny, wszyscy pełni zapału, zmieniający się jednakże co trzy lata, co pięć, co rok, a czasem nawet z wiosny na jesień, lub z jesieni na wiosnę. Rękę mieli do roślin szczęśliwą, wszystko im pięknie rośło, nikt zatem nie miał powodu grymasić i krytykować. Tyle że przy ciągłych zmianach ekip roboczych, żadna ludzka siła nie potrafiła stwierdzić, do kogo ta działka właściwie należy, kto tam rządzi i kto jest właścicielem. Pierwotny właściciel prawny był wprawdzie niezmienny, ale od dawna leżał w grobie. Co nie przeszkadzało, że dyplom pochwalny za wyjątkową urodę działki otrzymał przed pięcioma laty na własne nazwisko. Pośmiertnie.

Na teźże właśnie działce w miły, czerwcowy, zadeszczony dzień znajdowały się dwie osoby płci różnej, postury posągowej. Strój osób przedstawiał się kontrastowo, żeńska miała na sobie fartuch roboczy na szelkach i foliową, cienką pelerynkę od deszczu, rodzaj męski odzienie zlekcęważył, był goły, wyłącznie w kąpielówkach i krótkich gumiakach do połowy łydek. Nie stanowiło to niezwykłości, wielokrotnie działkowicze przebywali wśród swojej zieleni w strojach plażowych, zazwyczaj jednak wybierali pogodę słoneczną. Teraz zaś równiutko i wytrwale sięgał kapuśniaczek, a jednostajnie zachmurzone niebo nie wskazywało na możliwość rychłych zmian. Było jednakże ciepło. Bardzo ciepło. Deszcz nie ochłodził atmosfery, od wielu dni tropikalnej, a osobnik męski najwiędoczniej lubił letni prysznic.

Działka była w stanie kolejnej drobnej przeróbki. Blisko alejki znajdowało się coś, co z biegiem lat przybierało zmienną postać, to inspektu, to miniaturowy oranżerii, to zasobnika kompostowego. Stanowiło dół o betonowych ściankach, długi na trzy metry, szeroki na metr dwadzieścia i przechodziło aktualnie z fazy kompostowej w fazę oranżeryjną. Bogata w substancje odżywcze ziemia została już prawie wybrana, a kilkucentymetrowa warstwa na betonowym dnie była właśnie pieczołowicie wygarniana czymś w rodzaju grabi o niezwykle gęstych zębach, oraz niewielką łopatką. Zajęciu temu oddawał się osobnik płci męskiej.

Osoba płci żeńskiej przyglądała się robocie, stojąc tuż za nim. Jedną ręką wspierała się na stylisku innej łopaty, ogromnej, w części żelaznej, wdzięcznie wyprofilowanej, proste boki przechodziły w łagodny dziób. W drugiej ręce dama trzymała jakieś przedmioty, ogólnie zaś wydawała się nieco zdenerwowana.

– A teraz – mówiła – mój mąż nie żyje. Już prawie trzy miesiące zeszło. Ja uważam... ja myślę... To co ty na to?

Osobnik męski poniechał grabienia i wyciągnął rękę do tyłu.

– Małą osełkę – powiedział.

Damie nagle zabrakło rąk. Przedmiotów w dłoni miała za dużo, gorączkowo uwolniła drugą rękę, wielką łopatę opierając o ramię, wygrzebała coś, podała dżentelmenowi. Ujął to, nie patrząc, przez chwilę trzymał, po czym znów wyciągnął rękę do tyłu.

– Prosiłem o małą. Tak wygląda twoja pomoc, nawet wielkości narzędzia nie potrafisz ocenić. Potrzebna mi MAŁA osełka.

Dama wpadła w nerwową drzączkę. Z dłoni wyleciało jej wszystko, sięgnęła do kieszeni roboczego fartucha, peleryna jej przeszkadzała, wyciągnęła jeszcze jakieś przyrządy, wybrała jeden, podała. Owszem, trafiła, to było to.

Pan ujął przedmiot, odłożył na ziemię niewielką łopatkę, ustawił grabie w dole zębami do góry i przystąpił do ostrzenia tych zębów. Pomocnica pozbierała wszystko upuszczone.

– To jak będzie? – spytała z uporem. – Jak on już w grobie, to ja jestem wolna. To chyba teraz ożenisz się ze mną? Możemy wziąć ślub?

Cichy, chociaż świszczący szelest oselki na ząbkach najwidoczniej nie wydał jej się upragnioną odpowiedzią.

– To co? Bo ja już dawno myślę, a odkąd on chory, to jeszcze więcej, wiadomo było, że zdechnie, na takiego raka lekarstwa nie ma, to co miałam z rozwodami zaczynać. Weźmiemy ślub i już teraz... już teraz... no... na noc chyba nareszcie zostaniesz...?

W napięciu zawiesiła głos, oczekując odpowiedzi. Nadal odpowiadały tylko ząbki.

– To jak będzie? Kiedy się ze mną ożenisz? Przecie ja wiem, że nie masz nikogo! Tak czekam i czekam, że może co powiesz, a ty nic. Kiedy ten ślub weźmiemy?

Zamilkła, ale czuło się, że coś w niej rośnie i pęcznieje.

– Skąd przypuszczenie, że w ogóle kiedykolwiek? – odparł dzentelmen spokojnym, zimnym, twardym głosem, nie odwracając głowy. Wciąż stał na skraju dołu tyłem do wielbicielki.

Wielbicielką zatrzęśło.

– No jak to? Wszystko dla ciebie robię, wszystko, co tylko chcesz! I rentę po tym pokurczu mam dużą!

A dla ciebie już tyle lat specjalnie się staram i wszystko robię!

– Może nawet za dużo.

– Jak to...?

– Może ja nie chcę tak dużo. Może dla mnie to jest nachalne natręctwo. Niepotrzebny nadmiar, wpychany przemocą. Może mnie się podoba zupełnie co innego niż tobie i może mam inne potrzeby. Nie zauważyłaś tego do tej pory?

Postać w foliowej pelerynce skamieniała.

– Jak to...?

Postać goła nabierała rozpędu. Rytmiczny szmer osłki również.

– Przemysł to sobie. Nie musi być dla mnie dobre to samo, co było dobre dla twojego męża. Być może, ja mam inne upodobania i w tych upodobaniach wcale nie musi się mieścić ślub z tobą. Może mam inne potrzeby, których nie tylko nie zaspokajasz, ale nawet nie rozumiesz. Może nie mam ochoty być związany twoimi bezrozumnymi staraniami, które mi tylko przeszkadzają...

Na działkach ogólnie było prawie pusto. Jeśli nawet ktoś gdzieś został, to tkwił pod dachem, w altance, albo w całkiem solidnym domku letniskowym, gdzie mógł drzemać, względnie gapić się w telewizorek, pociągając piwko bez gniewnego mamrotania i głędzenia za plecami. Ściśle biorąc, takich osób było trzy, wszystkie płci męskiej i w średnio zaawansowanym wieku. Zajęte różnie.

Czwarta osoba właśnie opuszczała teren. Trzynastoletnia Ewa Górską przysła tu zaraz po szkole, ponieważ na działce ciotki dwa dni temu zostawiła przez roztargnienie pożyczone „Emancypantki” i nie tylko musiała je

oddać, ale także na jutro coś tam z nich napisać. Miała nadzieję na poprawę pogody, więc tak zwlekała, ale teraz nadzieja przepadła i nastąpiła ostatnia chwila. Trudno, musiała zmoknąć. Posiedziała trochę w altance, przeczytała mały kawałek książki, wymyśliła, co napisze i z westchnieniem ruszyła w drogę powrotną, nie mając najmniejszego pojęcia, iż dzień ten okaże się decydujący o całym jej życiu i na zawsze utkwi w pamięci.

Na jednej działce, już blisko bramy, ktoś był. Usłyszała głosy, głównie głos męski i jakby krótki szloch damski. Nic jej te osoby nie obchodziły, ale rzuciła okiem i przez niską siatkę, oraz nieco wyższą od niej zieleń ujrzała niewyraźne sylwetki. Jakaś baba i facet. Facet coś mówił nieprzyjemnym, twardym, takim jakimś bezlitosnym głosem. Baba nerwowo wtrącała urywane strzępy słów.

Tekst Ewy nie zainteresował, chociaż najwyraźniej w świecie ci dwoje podgryzali się wzajemnie. Wstrząsnęła nią natomiast męska sylwetka, z całego serca brzydziła się gołych facetów, jeszcze młody chłopak na plaży, coś takiego da się wytrzymać, normalka, ale wielki, goły wapieniak w środku miasta...? Żeby chociaż gładki, ale nie, owłosiony! No dobrze, nie bardzo, trochę, ogólnie nawet kształtny, bez sadła, Fidiaszowi za model mógłby służyć. To niech się nim Fidiasz zachwyca, dla Ewy to było po prostu wstrętne cielsko. Baba zresztą też niezła, widać figurę mimo foliowej osłony, pasuje do niego. Ale mniej obrzydliwa.

Przyśpieszyła kroku i upadła jej niedbale zwinięta torba z małymi baterijkami, kupionymi po drodze. Musiała się zatrzymać, cofnąć i pozbierać śliskie opakowania, dzięki czemu wpadło jej w ucho nieco więcej dialogu z mijanej działki.

– Już byś przestał z tym ostrzeniem, ty chory jesteś, wytrzymać nie można! – usłyszała jeszcze rozpaczliwie wściekły okrzyk za plecami.

Odpowiedź męska już jej wyraźnie nie dobiegła, ale wystarczył sam ton. Okropny. Nie obejrzała się za siebie, dotarła do bramy, tam już szmer deszczu na liściach zagłuszył wszystko, a równiutkie strumyczki z nieba mglistym welonem zasłoniły widoki. Prawie nie zwróciła uwagi na postać, która przedarła się przez krzaki obok niej, podążając w głąb działek. Tyle wiedziała, że postać była męska.

W dziesięć lat później miała gorzko pożałować swojego braku zainteresowania konfliktami międzyludzkimi...

* *
*

Pouczenia nad przyszłą oranżeryjką trwały.

– ...jeżeli tych bliskich kontaktów jesteś taka spragniona, należało korzystać z zapałów twojego męża, ja mam zapewne inny gust. Powinnaś to była dawno zauważyć i przemyśleć, a nie występować teraz z propozycjami nie do przyjęcia. Ślub, wspólne mieszkanie, wspólne łóżko... Nie zauważyłaś dotychczas, że w odniesieniu do ciebie ja nie wykazuję skłonności w tym kierunku, raz to trzeba wreszcie powiedzieć otwarcie...

– Ostrzyć. Wolisz ostrzyć. To jakaś mania! Od tego można zwariować!

– Istotnie, upodobania bardzo nas różnią. Obawiam się, że sztuka myślenia wciąż jest ci obca, ale może uda ci się zrozumieć, co do ciebie mówię. Nie czuję do ciebie najmniejszego pociągu, przeciwnie, zrażasz mnie na każdym kroku...

Mówił i mówił, wciąż stojąc nad dołem, tyłem do niej, i nie dostrzegał jak za jego plecami rośnie furia rozpaczy. Rozczarowania. Gniewu. Udręki.

Rośnie, pęcznieje, przeradza się w ogromny balon...

* *

*

Postać męska, która minęła w bramie Ewę Górską, nie trzymała się alejki. Z niewyjaśnionych przyczyn jeła pokonywać kolejne ogródki, przełaząc bez trudu przez niskie siatki i wybierając wąskie ścieżki. Ogródków przed zaludnioną działką było niewiele, zaledwie cztery, ale nieszczęśliwym dla postaci trafem wszystkie były gęsto obsadzone berberyse, ostrokrzewem, malinami, jeżynami i szpalerami róż, roślinami o solidnych, ostrych kolcach. Postać najwyraźniej nie posiadała żadnego wykształcenia botanicznego, ani też wiedzy o krzewach kolczastych, bo ustawicznie w nich grzęzła, chwytana za odzież. Przedierała się jednak wytrwale. Wiosenny deszczyk szeleścił.

* *

*

Zarzut damy, jakoby skłonność do ostrzenia narzędzi stanowiła maniactwo, można było właściwie uznać za całkowicie słuszny. Cały sprzęt ogrodniczy wokół lśnił krawędziami, wobec których brzytwy powinny się spalić ze wstydu. Zęby żelaznych grabi mogły zastąpić igły, sekatory przecinać włos w powietrzu, łopaty, noże i nożyce przewyższyły ostrością skalpele, bił od nich blask nawet w czasie deszczu. Szczególnie największa łopata, o którą wciąż wspierała się odrzucana miłośnica, sprawiała wrażenie wręcz mordercze.

– To przez nią – zawarczała miłośnica przez zęby. –
Wszystko przez nią...

– I teraz, patrząc na ciebie, żałuję, że pozwoliłem jej odejść – wyrębał niemilosiernie oporny amant. – Nie próbuj więcej do mnie przychodzić. Nigdy nie zostaniesz wpuszczona.

Przez chwilę panowała cisza. Potem balon pękł i furia strzeliła.

Przez szelest monotonicznie siąpiącego deszczu przedarł się złowieszczy, straszliwy świst. Coś poleciało nagle wysokim łukiem przez alejkę i głucho łupnęło wprost w środek gąszczu starszej pani. Coś z potężniejszym łupnięciem wpadło do dołu po kompoście, brzęknęły naostrzone grabie, zgrzytnęła o betonową ściankę mniejsza łopatka. Po czym znów zapanowała cisza.

Przez długą chwilę świat trwał w zadeszczonym bezruchu, aż wreszcie w jedną ludzką postać wstąpiło życie. Odezwało się echo furii.

Praca zawrzała racjonalnie, rzetelnie, energicznie i ze skutkiem godnym podziwu. W imponującym tempie dokonawszy niezbędnych czynności, osoba ludzka spokojnym krokiem opuściła mokry teren działek.

Pies z kulawą nogą nie zwrócił na nią uwagi.

* *

*

We wrześnie dwie sztuki żeńskie z owej zmiennej osobowo rodziny wróciły z letnich wojaży zagranicznych i już następnego dnia po powrocie znalazły się na działce, stęsknione za ulubionym ogródkiem.

– O rany, ale bajzel – powiedziała jedna z nich, czterdziestopięcioletnia Leokadia, nieco wstrząśnięta.

– Jak ty się wyrażasz – zgorzyła się jej o dwa lata starsza siostra, Paulina. – Co się tu dzieje, tu chyba przez dwa miesiące nikt nic nie robił!

– Przez dwa i pół. Nic nie rozumiem.

– A przecież Feliks miał zadbać! Gdzie Feliks?

– A skąd ja mam wiedzieć? To twój wielbiciel, nie mój.

Paulina prychnęła gniewnie.

– Mówił, że wyjeżdża, ale dopiero w połowie sierpnia. Przez dwa tygodnie tak zarosło?

– Zetgał. Wcałe go tu nie było. Źle go wychowałeś.

– Oj, głupia jesteś, trzeba było samej się do niego zabrać i wychowywać!

– Ja gachów nie potrzebuję.

– Ja też nie... Akurat, nie potrzebujesz, a ten krzywonos w Kalifornii, co za nim latałaś...

– Ja za nim? Puknij się, ocipiała idiotka, nie ja za nim, tylko on za mną!

– A ty go może odganiałaś, co...?

Pokłóciły się tak porządnie, że zakotłował się w nich cały zapas adrenaliny. Ujście znalazł w pracy ogrodniczej i siostry oklapły dopiero po czterech godzinach, ale prawie połowa działki odzyskała swój urok, rozkwitła nieskalanym porządkiem. Pocięchy i dopingu dostarczyły narzędzia, wszystkie w idealnym stanie i ostre jak brzytwy.

– Przynajmniej oczyścić i naostrzyć – mruknęła Leokadia, ledwo już zapiąc, i usiadła na rozkładanym krześle.

Paulina zdobyła się jeszcze na zaparzenie herbaty i wyjęcie kanapek. Jako stół posłużyła ławeczka pod altanką, uwolniona w połowie od bujnych pędów klematisu.

Obie siostry, jak na swój wiek, były pięknymi kobietami, pełnymi sił i wigoru, ale miały lekko-średnią nadwagę i musiały nieco odetchnąć. Nie do kłótni im teraz było.

– A co on miał zrobić, ten jakiś fachowiec, z tym...? – spytała Paulina, czyniąc gest brodą. – Bo zapomniałam.

Leokadia spojrzała w bok na dół po byłym kompoście, który już nie był kompostem, tylko jakby samą ziemią, dobrze odżywioną.

– Trochę źle przesiał – skrzywiła się. – Niestarannie. Też nie pamiętam, na czym staęło. Inspekt?

– Nie, już wiem. Oranżeryjka. O, szyby stoją. Miał być daszek.

Leokadia przyglądała się ziemi, szybom i całej reszcie z niesmakiem, wciąż skrzywiona.

– Ale nie zmontowany. Nie, oranżeryjce nie damy rady, zrobimy sobie inspekt i zaczniemy siał już w lutym.

– Albo w domu siał i flancować w marcu. Szybami się przykryje. Przecież ten Feliks kiedyś wróci!

– Ej, czy aby na pewno? – zachichotała złośliwie Leokadia.

Paulina niemal się obraziła.

– A niby dlaczego nie?

– Zelżyłaś go tak, że powinien się nie pokazać nawet z daleka...

– Wcale nie ja go zelżyłam, tylko ty!

– Ale ty mnie poparłaś!

Paulinie nie chciało się kłócić. Wzruszyła ramionami.

– E tam. Przejdzie mu. A jak nie, przyleci Bronka z tym swoim rozchichotanym Teodorkiem. On pracowity.

W wyjątkowej zgodzie uściśliły plany ogrodnicze, po czym przeszły do plotek rodzinnych. Część rozproszo-

nych wakacyjnie krewnych i powinowatych znikła im z oczu, nic o nich nie było wiadomo, należało cierpliwie czekać, czego żadna z nich nie lubiła.

– A Joanna? – przypomniała sobie nagle oburzona Paulina. – Ten jakiś jej facet, jeszcze bardziej pracowity niż Teodor...

– Naszą wspólną przyszywaną siostrzenicę wybij sobie z głowy – przerwała jej trzeźwo Leokadia. – Po pierwsze, kiedy ona wróci, nie mam pojęcia i nikt chyba nie wie, a po drugie, o facecie ostatni raz coś tam bąkała w zeszłym roku, więc wcale w niego nie wierzę. Ukrywała go. I w ogóle zdaje się, że to właśnie miał być ten fachowiec od daszku. A po trzecie, płacze mi się jakaś studentka botaniki, która się tu pcha eksperymentalnie, czyjaś powinowata, ale nie wiem czyja.

– Też pracowita?

– To się okaże...

Rzecz oczywista, na obfitującej w użytkowników działce następnego dnia pojawiło się już więcej osób i praca ruszyła ostro. Co do jednego wszyscy byli zgodni. Inspekt. Żadnych oranżeryjek!

No i inspekt pozostał. Szybami przesuwными przykryty, spełniał swoje zadanie i rosło w nim wszystko nad podziw.

* * *

*

Studentka botaniki, niejaka Marlenka, chlubnie ukończyła trzeci rok studiów i zagnieździła się na ruchliwej działce, aczkolwiek nikt nigdy nie zdołał dojść, jaki rodzaj powinowactwa łączy ją z kimkolwiek. Mętnie błąkało się przypuszczenie, iż jeśli coś, to tylko z tajemni-

czym facetem Joanny, nikomu nieznanym, którego niepewnie określała mianem wuja. Wuj wprawdzie gdzieś zniknął, od trzech lat nie widziała go na oczy, ale pamiętała, że jeszcze przed maturą miała obiecaną praktykę na tej właśnie działce, numer działki dostała i dlatego przyszła. Do roboty zabrała się od razu z dzikim zapalem, rękę do roślin miała niebiańską, została zatem przyjęta bez najmniejszych zastrzeżeń.

Eksperymentowała zatem coraz śmielej i właśnie ukradkiem posadziła w bujnie rosnącym inspekcje ma-lutką egzotyczną roślinkę, o skromnym wyglądzie zielonego patyczka. Nie mając najmniejszego pojęcia, jak straszliwe skutki ów czyn przyniesie.

Zniknął też całkowicie Feliks, adorator Pauliny.

Od trzech lat nie odzywał się i nikomu nie pokazywał na oczy. Najwidoczniej występ Leokadii okazał się śmiertelnie obraźliwy, a Paulina go doprawiła, usunął się zatem na ubocze. Ambicją i urazą wiedziona Paulina nawet nie spróbowała załagodzić sprawy, nadeła się i nieudolnie kryjąc wściekłość, oraz żal, ogłosiła światu, że bez Feliksa doskonale się obejdzie.

Co nie miało nic wspólnego z prawdą.

No i w dwa lata później eksperyment Marlenki pokazał swoje prawdziwe oblicze.

Do jesieni wyrósł w górę na trzy czwarte metra, nie wiadomo było, co z nim zrobić, nie został zatem nigdzie przesadzony, zyskał tylko przestrzeń dla rozwoju przez zwykłe wyjęcie jednej szybki. Na przełomie zimy i wiosny przekroczył już metr, a w dodatku tuż obok niego pojawiły się nowe zielone patyczki w liczbie czterech, gorliwie ścigające przodownika. Wszyscy byli ciekawi, co z nich wyrośnie.